

KAROL FIEDOR

WSPOMNIENIA JÓZEFA KURZAWY Z DZIADOWEJ KŁODY

Gra muzyka u Kurzawy,
Tańczy młody, śpiewa stary,
Dolno-śląskie tańce, pieśni zapomniane,
Staropolskie nuty, skarby odkopane.
Przed wiekami tu powstały
I złą dolę przetrzymały,
Zaraz je poznamy, a wy posłuchajcie,
O Kurzawy śpiewkach nie zapominajcie¹.

Zwiedzającym dolno-śląskie miasta pokazujemy polskość wmurowaną w zabytkowe budowle, pokazujemy zachowane do naszych czasów pomniki polskiej kultury. Mówimy wiele i słusznie o łączności Śląska z Macierzą na przestrzeni dziejów. Podkreślamy polskość tych ziem za Piastów, stwierdzamy, że jeszcze w XVI w. Śląsk uchodził w ogólnej opinii europejskiej za kraj polski. Mało jednak mówimy o polskości wsi dolno-śląskiej, o ludziach, którzy zachowali do naszych czasów język polski. Wiemy, że na Śląsku Opolskim ten język przetrwał do czasów wyzwolenia, wiemy także, że nie jest to zasługą przychodzących z zewnątrz „budzicieli polskości”, lecz zasługą ludu opolskiego — chłopą i robotnika, którzy przeciwstawili się nie tylko klasowemu, lecz również narodowemu uciskowi. To prawda, że Wrocław, Świdnica, Bolków, Legnica i prawie każde miasto na Dolnym Śląsku noszą ślady epoki Piastów, że ruiny zamków piastowskich, stare kamieniczki stanowią dla nas bezcenną skarbnicę prawdy o tych ziemiach. To jednak nie wszystko.

Tu, na Dolnym Śląsku, żyją ludzie, którzy mówią piękną śląską gwarą. To, że język polski zachował się na wsi dolno-śląskiej aż do powrotu tych ziem do Macierzy, jest jeszcze jednym dowodem ich polskości. Przekonuje on równie mocno, jak śląskie orły na kościele prokatedralnym czy też grobowce książąt Piastów we wrocławskim Muzeum Śląskim. Tutejszy lud polski, odcięty przed sześciuset laty od Ojczyzny, zachował i utrzymał język polski, ojczysty obyczaj i swoją własną narodową kulturę. I jeżeli dzisiaj spotka się kogoś z tych Polaków, którzy przetrwali lata niewoli, opowie on swoje dzieje językiem staropolskim. Jest to dokument świadczący o tym, że jesteśmy na tej ziemi od wielu wieków. Dlatego też winniśmy zwrócić szczególną uwagę na wieś dolno-śląską. Trzeba w pełni ukazać życie tych ludzi, ich walkę o język ojczysty i o polską kulturę.

¹ Pieśń ułożona przez Józefa Majchrzaka i zamieszczona w zbiorze *Dolnośląskie pieśni ludowe*, Wrocław 1955, s. 9.

Józef Kurzawa jest jednym z tych, którzy doczekali się 1945 r. Jest przedstawicielem pokolenia, które dożyło chwili powrotu Dolnego Śląska do Polski.

Urodzony 5 I 1889 r. w Dziadowej Kłodzie w pow. sycowskim, pamięta dobrze groby swych dziadków, nad którymi ksiądz odmawiał „Zdrowaś Mario” w języku polskim. Pamięta polskie napisy na krzyżach nagrobkowych na cmentarzu w Dziadowej Kłodzie. Napisy te usunięto dopiero w czasach, kiedy rzucono hasło: *Fort mit der polnischen Fassade!* Rozpoczęto wtedy na wielką skalę nie tylko niemieckie „chrzty” polskich miejscowości, lecz również i likwidację wszystkiego, co polskie. Zacierano w ten sposób ostatecznie wszelki ślad polskości.

Kurzawa, opowiadając o tamtych czasach, stwierdza, że „starzy ludzie nie poradzili słowa po niemiecku powiedzieć”. Przy pracy rozmawiano przeważnie po polsku, do kościoła chodzono na nabożeństwa polskie. Również w domu Józefa Kurzawy posługiwano się językiem polskim, a jego ojciec uczęszczał do szkoły, w której nauczano w tym języku. Wychowaniem chłopca zajmowała się matka — stary Kurzawa, zatrudniony w firmie Thalheima w Oleśnicy, wykonującej roboty melioracyjne w różnych częściach Śląska, rzadko bywał w domu. W szkole uczył się Józef już po niemiecku. Z lat chłopięcych pamięta jedynie polskie kazania wygłaszane trzy razy w miesiącu i naukę religii dla dzieci polskich w kościele — w każdy wtorek i sobotę po południu.

W późniejszych czasach wskutek interwencji nauczyciela Dyrbacha naukę tę zakazano.

Po ukończeniu 14 roku życia rodzice oddali chłopca do pracy w majątku księcia Birona von Kurland w Dziadowej Kłodzie. Biron von Kurland, właściciel przeszło 90 folwarków, mieszkał w zamku sycowskim, majątkiem rządził administrator Baum. W tym więc majątku pracował 14-letni Kurzawa. Normalnie robotnikowi należała się wypłata zgodnie z umową zawartą z administracją majątku. Ponieważ rodzice Kurzawy dzierżawili część gruntów dworskich, dlatego Józefowi nie wypłacano zarobku, lecz zabierano jako wynagrodzenie za wynajętą działkę.

Po kilku latach pracy w folwarku ojciec zabrał Józefa z Dziadowej Kłody. Odtąd aż do 1909 r., tj. do czasu powołania do służby wojskowej, pracuje wraz z ojcem w firmie Thalheima. W domu nie było dla niego pracy. Kurzawowie nie posiadali ani własnego zagonu, ani własnej zagrody. Mieszkali w budynkach folwarcznych księcia.

Służbę wojskową odbył w Opolu. W garnizonie opolskim stacjonowali przeważnie żołnierze ze Śląska, nie znający języka niemieckiego, toteż Kurzawę, jako orientującego się w niemczyźnie, często powoływano na tłumacza. Niemieccy oficerowie nie chcieli lub nie umieli rozmówić się po polsku ze swymi podwładnymi.

Po kilkuletniej służbie wojskowej Józef powraca do dawnej pracy, aby ją przerwać — tym razem na dłuższy okres czasu. W sierpniu 1914 r. powołany zostaje ponownie do wojska i skierowany do Belgii, a następnie do Francji. Ciężkie walki pozycyjne dziesiątkowały niejednokrotnie jednostkę wojskową, w której służył. Głód był codziennym jego towarzyszem. Zdarzało się bardzo często, że zjadał chleb zabitego kolegi odłamując jedynie części splamione krwią.

Trudy wojenne nie wywoływały nienawiści do żołnierzy walczących po przeciwnej stronie. Przeciwnie, na frontach, w miarę przedłużania się działań wojennych, rodziło się swoistego rodzaju braterstwo. Zdarzało się, że żołnierze niemieccy spotykali francuskich żołnierzy u źródła, skąd czerpano wodę. Umawiano się wtedy, że nie będą do siebie strzelali. Była to zresztą powszechnie znana umowa między żołnierzami walczących armii tak na froncie zachodnim, jak i wschodnim. Dowództwo francuskie, po odkryciu tej umowy, luzowało pośpiesznie oddziały podejrzane o zmowę z żołnierzami przeciwnika tzw. czarnymi brygadami. Były to specjalnie wyszkolone oddziały wojsk

z kolonii francuskich, którym kazano bić się w Europie i które ze względu na język nie mogły szybko nawiązać kontaktu z przeciwnikiem.

Jesienią 1915 r. Kurzawa został ranny w głowę i po 14 dniach wywieziony ze szpitala polowego w głąb Niemiec. Na front już nie wrócił. Ciężka rana goiła się długo i dzięki niej został zwolniony ze służby liniowej i przydzielony do batalionów rezerwowych. Batalion, do którego przydzielono Kurzawę, stacjonował we Wrocławiu. Z Wrocławia do Dziadowej Kłody niedaleko. Mógł więc częściej odwiedzić swoją wioskę uzyskując nawet kilkutygodniowe urlopy. W tym czasie Józef Kurzawa zawiera związek małżeński z wdową po poległym żołnierzu, również jak i on — Polką. Ślub odbył się w języku polskim w kościele parafialnym w Dziadowej Kłodzie.

W 1916 r. ogłoszono w Niemczech zarządzenie o tzw. Hilfsdienstie. Do Hilfsdienstu powoływano mężczyzn, którzy ze względu na zły stan zdrowia nie uczestniczyli w działaniach wojennych, i wysyłano do fabryk, specjalnie uskarżających się na brak robotników. Kurzawę również powołano do Hilfsdienstu i przydzielono do jednej z berlińskich fabryk.

Praca w owych zakładach była ciężka, a wyżywienie prawie głodowe. Toteż Kurzawa stara się o przeniesienie do pracy w majątku Birona, co mu się udaje dopiero po długich staraniach. W tym majątku pracuje wraz z żoną aż do 1937 r. Tu po raz pierwszy spotyka się z polskimi robotnikami sezonowymi z Małopolski, którzy przyjeżdżali do pracy w czasie sianokosów i zniw.

W 1933 r. folwark Birona w Dziadowej Kłodzie przejął nowy administrator — Bem. Był to Górnoślązak, zagorzały zwolennik nowego reżymu. Polskich robotników pracujących w majątku traktował wprost brutalnie. Nie zgadzał się na ich zrzeszanie nawet w legalne związki robotnicze. Nie zgadzał się również na dodatki dla ciężko pracujących. Kurzawa wraz z ówczesnym sołtysem w Dziadowej Kłodzie, Sową, postanowili pomóc tym ludziom. Bem, dowiedziawszy się o tym, zwolnił wiosną 1937 r. Kurzawę z pracy stwierdzając, że nie myśli zatrudniać w majątku, którym rządzi, „polskiej świni”. Jedynie dzięki przyznaniu w tym samym roku zapomogi inwalidzkiej Kurzawa mógł jako tako wyżyć siebie i rodzinę, składającą się z żony i dwojga dzieci. Wprawdzie żona pracowała jeszcze w majątku, lecz po zapłaceniu za mieszkanie w budynkach folwarcznych i dzierżawę kawałka gruntu pozostały jej tylko marne fenigi.

W tych czasach również w Dziadowej Kłodzie narzucono urzędową nazwę Kuntzendorf, jednak mieszkańcy tej wsi używali starej nazwy aż do czasu jej powrotu do Polski. Po 1933 r. zabroniono także w Dziadowej Kłodzie wygłaszania kazań w języku polskim. Dzięki zaradności ks. Franciszka Heidoka udało się na razie omijać te zarządzenia. Ksiądz ten odprawiał po polsku nabożeństwa, dawał śluby — często na plebanii — nie tylko robotnikom z Polski, lecz również i miejscowej ludności.

Wróćmy do przerwane go opowiadania o Kurzawie. Ponieważ renta inwalidzka nie wystarczała na wyżywienie rodziny, Kurzawa został zmuszony do podjęcia pracy stróża nocnego przy budowanych w Dziadowej Kłodzie magazynach broni.

Pod koniec 1941 r. do Dziadowej Kłody przywieziono pierwszych jeńców wojennych i robotników zabranych na przymusowe roboty ze Związku Radzieckiego, których zatrudniono w majątku Birona. Liche wyżywienie zmuszało tych ludzi do szukania dodatkowej pracy, która zapewniłaby im kawałek chleba. Z lipowego drzewa fabrykowali różnego rodzaju zabawki dla dzieci, które następnie sprzedawał Kurzawa nie tylko w Dziadowej Kłodzie, lecz również w okolicznych wioskach. Uzyskany w ten sposób chleb lub tłuszcz oddawał Rosjanom. Tak doczekano się 1945 r.

W styczniu tegoż roku Niemcy rozpoczęli ewakuację mieszkańców okolicznych wiosek oświadczając równocześnie, że ci wszyscy, którzy nie opuszczą swoich domów, uznani będą za szpiegów i stawieni przed sąd wojskowy.

Nocą 19 I 1945 r. opuścili Dziadową Kłodę oddziały Wehrmachtu; pozostały tylko grupy SS, które rozpoczęły ewakuację opieszających. 20 stycznia o godz. 12 pojawiły się w wiosce od strony Kępna pierwsze oddziały wojsk radzieckich. Kilkanaście minut wcześniej grupa SS zmusiła tych mieszkańców, którzy nie ukryli się w lesie, do opuszczenia wioski. Wtedy również zabrano rodzinę Kurzawy. Ewakuowanych odstawiono najpierw do Bierutowa, a następnie do Oławy. Po kilkudniowym pobycie w tym mieście kazano im maszerować w kierunku Rogoźnicy.

Było to pod koniec stycznia 1945 r. Padał śnieg, mróz dochodził do 20°. Gdzieś na wschodzie słychać było bez przerwy głuchy huk. Front zbliżał się pod Wrocław. Drogi ciągnęły tłumy zmarzniętej ludności cywilnej pod „opieką” gestapowców.

Rogoźnica stanowiła punkt zborny. Tutaj zatrzymywano ewakuowanych po to, aby mężczyzn zabrać do Landsturmu, a kobietom i dzieciom wskazać nową marszrutę — tym razem w kierunku Sudetów. Kurzawie, jako niezdolnemu do noszenia broni, pozwolono wyruszyć w dalszą podróż wraz z żoną. Po kilkutygodniowej tułaczce zatrzymał się w miejscowości Gassendorf (Goślinów w pow. legnickim). W czasie tego marszu stracił cały majątek, jaki z sobą zabrał. Pozostał więc z żoną i siostrą bez dachu nad głową i bez środków do życia. Aby zarobić na utrzymanie siebie i rodziny, pomagał w pracy miejscowym gospodarzom.

Tymczasem wojna skończyła się. Ludzie powracali do swoich domostw. Kurzawa powrócił do Dziadowej Kłody 29 maja wieczorem; wraz z nim powróciło 30 rodzin, wśród których 16 używało (w życiu codziennym) języka polskiego.

W wiosce ukształtowała się już nowa władza. Sołtysem został były robotnik rolny z folwarku księcia Birona von Kurland, Antoni Wojciechowski. Człowiek ten umiejętnie wykorzystywał sprawowaną władzę dla swoich interesów. W czasie ewakuacji wsi Wojciechowski nie wyjechał z Dziadowej Kłody. Po ucieczce żołnierzy niemieckich wybrał jedno z najlepszych gospodarstw i umiejętnie je „zaopatrzył” w wiele nowych gospodarskich przedmiotów. O tym wszystkim wiedział ks. Franciszek Heidok, autochton, który również pozostał w wiosce. Aby pozbyć się jedyne go świadka, znającego owe „zabiegi”, Wojciechowski oskarżył księdza o współpracę z hitlerowcami. Miejscowe władze uwierzyły ówczesnemu sołtysowi; ks. Franciszka Heidoka, który nie chciał wyjeżdżać dlatego, że czuł się Polakiem, wysiedlono jesienią 1945 r. Franciszek Heidok był jednym z tych księży, którzy wbrew zakazom władz hitlerowskich odprawiał po polsku nabożeństwa dla ludności polskiej.

Latem 1945 r. na Dolny Śląsk i do Dziadowej Kłody przybyły pierwsze grupy osadników polskich. Zajmowały one gospodarstwa opuszczone już przez ludność niemiecką. W czerwcu wydawało się, że w Dziadowej Kłodzie wszystko układa się pomyślnie. Ewakuowani powrócili na swoje gospodarstwa, napływali również nowi osadnicy polscy. Do Niemiec wyjechali ci, którzy czuli się Niemcami. Patronowała im propaganda reakcyjnych kół niemieckich zapewniając, że w Niemczech czeka ich dobrobyt i ziemia.

Kurzawa mimo namowy na wyjazd pozostał. Bezpośrednio po powrocie do Dziadowej Kłody zgłosił się do władz z prośbą o przyznanie mu obywatelstwa polskiego. Na skutek jednak braku zarządzeń w tej sprawie trzeba było czekać.

Następne tygodnie przyniosły jednak poważne zmiany. Dawnych mieszkańców Dziadowej Kłody, którzy nie wyjechali do Niemiec, nowi osadnicy zatrudnili na przydzielonych im gospodarstwach — oczywiście bez wynagrodzenia. Podobny los spotkał i Kurzawę. Zatrudnił go na swoim gospodarstwie Wojciechowski.

Nowi osadnicy, ogarnięci ślepotą i nacjonalistyczną psychozą, nazywali nieraz starych mieszkańców Dziadowej Kłody Niemcami i uważali ich za ludzi pozbawionych praw. Zaciążyły tu w dużej mierze zbrodnie hitlerowców, dokonane na narodzie polskim. Nowi mieszkańcy wsi uważali starych mieszkańców Dziadowej Kłody za winnych

tego, co dokonali hitlerowcy w Polsce. Zbyt świeże jeszcze były wspomnienia z lat okupacji. Żył w pamięci straszny Oświęcim i nieznanne groby rozrzucone po całej Polsce. Były to ciężkie i trudne czasy organizowania się dopiero naszego państwa. Ludowym władzom polskim przychodziło równocześnie zagospodarowywać te ziemie i walczyć z obcą, hitlerowską dywersją, z siłami reakcyjnego podziemia — a ta ostatnia walka była chyba najtrudniejsza — jak również z przeżytkami odziedziczonymi po ustroju kapitalistycznym. Nic też dziwnego, że rozgoryczeni takim stanem rzeczy nawet ci, którzy mówili po polsku, nie znajdując poparcia u miejscowych władz, a zwłaszcza sołtysa Wojciechowskiego, który znał tych ludzi, gdyż pracował w Dziadowej Kłodzie jeszcze za czasów niemieckich, wyjeżdżali. Wielu z nich, ulegając reakcyjnej propagandzie niemieckiej, zabierało swój majątek ruchomy i opuszczało ojcowiznę. Odwożono ich furmankami do Sycowa, ładowano do wagonów i kierowano na zachód.

W tym samym czasie, kiedy niektóre rodziny wyjeżdżały z Dziadowej Kłody do Niemiec, Kurzawa jechał do starostwa. Jechał po obywatelstwo polskie, w którego wyrobieniu pomógł mu wójt Wierzbiński. Było to w październiku 1945 r. Stary Kurzawa nie umiałby na pewno naukowo rozprawić o trudnej specyfice tego początkowego okresu. Oddechowo przecież, może podświadomie, czuł się nie tylko Polakiem, ale i pełnoprawnym obywatelem tej Polski, która nareszcie przyszła. Tym tylko da się wytłumaczyć wytrwałość i odporność na wszystko, co przez szereg lat miało go jeszcze spotykać. Stary Polak z dumą pokazywał odjeżdżającym na zachód nowy dokument stwierdzający jego polskość. Wielu z wyjeżdżających odwracało od niego głowę lub pluło mu pod nogi nazywając go zdrajcą. Dawniej — skarży się Kurzawa — za czasów hitlerowskich nazywano mnie „polską świnią”. Dzisiaj ci sami ludzie nazywają mnie „zdrajcą”, swoi zaś „szwabem”.

I niewątpliwie były to dla Kurzawy ciężkie czasy. Pozostał w Dziadowej Kłodzie, nie wierzył propagandzie obiecującej w Niemczech złote góry — wysoką rentę inwalidzką dla kalek wojennych i zapomogi dla starców. A tu tymczasem trzeba było pracować za darmo. Kurzawa pracował u Wojciechowskiego do stycznia 1946 r. W tym czasie posterunek MO poszukiwał pomocnika do prac gospodarskich, toteż Kurzawa przeniósł się od stycznia na nową służbę. Wprawdzie i tu nie płacono za pracę, jednak można było otrzymać zawsze kawałek chleba dla żony i siostry, które przecież też z czegoś musiały żyć, a jako staruszki nie mogły pracować. Tak jak dawniej mieszkał w jednym z budynków folwarcznych i nie starał się o otrzymanie nowego mieszkania, mimo że wiele zagród było jeszcze wolnych. Nie było więc za co kupić chleba, nie było uczciwego dachu nad głową ani zapewnionego jutra. W każdej chwili mogli go na skutek różnych oszczerstw wysiedlić, jak wysiedlono księdza Heidoka. Nie był to pojedynczy przypadek. Wielu dawnych gospodarzy z Dziadowej Kłody prosiło o zezwolenie na pozostanie. Wskutek zabiegów nowych osiedleńców, którzy już zajęli ich gospodarstwa, prośby te załatwiano odmownie. Bardzo trudno wyjaśnić dziś każdą poszczególną sprawę. Niewątpliwie, wielu przybyszów, a nawet organa władz lokalnych nie dostrzegały i nie doceniały siły polskości w Dziadowej Kłodzie. I wielu z tych, którzy czekali na Polskę, zostało w tych tragicznych czasach skrzywdzonych. Wysiedlono ich wbrew ich woli.

„W marcu 1947 r. — mówi Kurzawa — wypowiedziałem prace na milicji, bo mi nie płacono i zaciągnęłam się jako grabarz u księdza”. W poszukiwaniu nowej pracy pomógł mu wójt Wierzbiński. Oświadczył on Kurzawie, że jako pełnoprawny obywatel Polski Ludowej ma prawo otrzymać za pracę wynagrodzenie i nikt nie może zatrudniać go za darmo. Wprawdzie w komisariacie MO zapewnili Kurzawę, że otrzyma zapłatę, ale była to tylko niczym nie poparta obietnica. „Obietnica — niepewnica”, oświadczył

Kurzawa komendantowi posterunku MO, Mastalarzowi, i zmienił zawód służącego na grabarza.

Kopał groby na pobliskim cmentarzu, a kiedy nie było na nie zamówień, robił cementowe obramowania grobów zarabiając w ten sposób na utrzymanie swoje, żony i siostry.

Siostra Kurzawy, staruszka w tym samym wieku co i żona, miała również ciężką młodość, którą spędziła na służbie u bogatych ludzi. „To tyle służba mi przyniosła” — mówi wyciągając ręce, wykrzywione postępującym reumatycznym zapaleniem stawów. Maria Kurzawa otrzymała od władz polskich w 1950 r. rentę starczą, do tego czasu trzeba było jednak żyć z zarobku brata. Mimo tej niewątpliwie trudnej walki o kęs chleba Kurzawa coraz bardziej czuł się gospodarzem wsi i kraju. W 1947 r. wstąpił do Stronnictwa Ludowego i rozpoczął aktywną działalność na terenie wsi.

Z zawodem grabarza zerwał w 1949 r. i przyjął pracę stróża nocnego w Działowej Kłodzie. Czuwał nad bezpieczeństwem jej mieszkańców aż do 1951 r. Praca ta była jednak ciężka i męcząca dla 68-letniego Kurzawy. Toteż z ulgą powitał myśl założenia spółdzielni produkcyjnej w swojej wiosce.

Zebranie założycielskie spółdzielni produkcyjnej w Działowej Kłodzie odbyło się na początku 1951 r. Kurzawa tak o nim opowiada: „Na zebraniu mi się to podobało [mowa tu o zespołowym gospodarowaniu], jedni się dali zapisać, a jedni nie. Wstąpiło nas 22. Mnie przyjęli z gołymi rękami. Nic nie miałem przecież — ani zagona ziemi, ani krowy”.

Poczęło się odmieniać. Kurzawa-spółdziałca, współwłaściciel łąnów w Działowej Kłodzie, pracował w pierwszym roku przy siewie zbóż na polach, które dawniej należały do księcia Birona von Kurland. Tej jesieni Kurzawa stojąc na desce siewnika ciągniętego przez traktor, siał zboże wiedząc, że będzie jadł z niego chleb. Przed 40 laty orał te pola wołami. Na polach mógł śpiewać polskie piosenki, gdyż nie słyszał go wtedy karbowy — Niemiec. Tej jesieni Kurzawa już bez obawy, drżącym ze wzruszenia i starości głosem, zaśpiewał traktorzyście i jego pomocnikowi polską śpiewkę, tę samą, którą śpiewał jako rataj.

Opowiadającemu o tym spółdzielczym siewie staremu Kurzawie ukazały się łzy w oczach. Ocierając je z uśmiechem powiedział: „To ze starości, panie — dziś mi się **dobrze** wie dzie”.

Siewnik znaczył równe rzędy na dobrze uprawionych łąnach, Kurzawa śpiewał coraz to nowe „pieśniczki”. Jego współpracownicy słuchali z podziwem. Nie wiedzieli przecież, że ten przeszło 68-letni staruszek tak pięknie potrafi śpiewać piękną staropolszczyzną. Jesienne słońce już zachodziło za sycowski las, kiedy Kurzawa wracał do domu pełen radości. Czuł się młodym, nie obawiał się, że karbowy może wydalic go z pracy za to, że śpiewał po polsku. Śpiewał przecież w Ludowej Ojczyźnie.

Gdy w czasie rozrachunku spółdzielczego w 1951 r. poproszono go o polskie pieśni — nie odmówił.

Był zadowolony z pracy w spółdzielni. Otrzymał jako roczne wynagrodzenie 22 q żyta, 8 q pszenicy, 30 q ziemniaków, 150 kg cukru i, oprócz 1000 zł zaliczki, jeszcze 967 zł w gotówce. Codziennie otrzymywał 2 litry mleka.

W świetlicy spółdzielni produkcyjnej było wesoło jak nigdy dotąd. Kurzawa śpiewał o miłości i tęsknocie za dziewczyną, o panach, którzy gnębili chłopą, śpiewał o Jasiu, który zginął na wojnie za ojczyznę. Z tych pieśni, które wydobywał z pamięci, przebijała miłość do ziemi ojczystej. Były to pieśni, które towarzyszyły ludziom w pracy na pańskich zagonach i w czasie rodzinnych świąt oraz towarzyszyły walczącym z pańską przemocą. Przekazywane z ojca na syna dotrwały mimo prześladowań aż do czasów, kiedy mogą rozbrzmiewać z całą siłą swego piękna.

Łód Wrocławia dyzdz idzie,
 Łód Wrocławia dyzdz idzie,
 A mój mioły nie jedzie,
 A mój mioły nie jedzie,
 Łó nie jedzie, nie jedzie,
 Łó nie jedzie, nie jedzie,
 Łodmawiajóm go ludzie,
 Łodmawiajóm go ludzie².

Kurzawa śpiewał również piosenki o doli żołnierskiej, o tułaczce.

Z Francyje jade, cały sie poce,
 Podej mi ty miło ta chustecuska, co sie otra niom.
 Jo ci chustecki podać nie winna,
 Niech ci jom podo z Francyje jedna.
 Tam nie było casu dziewcont miłować
 Jenó było trzeba egzeczyrować ---
 Jenó było trzeba egzeczyrować.
 Kto egzecyrke zno, tymu jest dobrze,
 Siendzie na konika, wykrynci wąsika,
 Z paradam jedzie.

W świetlicy spółdzielczej goszczono wtedy również przedstawiciele z powiatu. Kilka tygodni później Polskie Radio nagrało kilka piosenek Kurzawy. Odtąd znane są Dolnemu Śląskowi z audycji „Gra muzyka u Kurzawy”.

W 1952 r. Polskie Radio zaprosiło Józefa Kurzawę do Wrocławia. W 1953 r. na uroczystym przyjęciu w Muzeum Śląskim we Wrocławiu byli obecni przedstawiciele Kroniki Filmowej. Dzięki nim Kurzawa stał się znany w całej Polsce.

W jednej z moskiewskich fabryk kilkuletnim przodownikiem i świetnym fachowcem jest młodszy syn Kurzawy. Zawędrował tu zabrany do niemieckiego wojska — po skończeniu wojny — pozostał. Od rodziców nie było żadnych wiadomości. Zadowolony się więc w Moskwie, pracuje w fabryce, zdobył zaufanie kierownictwa zakładu, jest cenionym pracownikiem. Tęsknota za rodzicami, za krajem jednak trwa. Toteż wieczorami po pracy młody Kurzawa słucha audycji z kraju. W czasie jednej z nich usłyszał głos swojego ojca, którego uważał już za nieżyjącego. W dalekiej Moskwie przez radio śpiewał Kurzawa. Dzięki tym śpiewkom odnalazł stary Kurzawa syna. Po kilku tygodniach rzeczywiście do Dziadowej Kłody przyszedł list z zawiadomieniem, że syn jest w Moskwie, pracuje w jednej z fabryk i słucha pieśni swego ojca.

7 V 1955 r. na uroczystym zjeździe spółdzielców powiatu sycowskiego udekorowano Kurzawę medalem Dziesięciolecia Polski Ludowej za zasługi na polu krzewienia polskiej kultury ludowej, za aktywną pracę społeczną.

Te lata, kiedy trzeba było pracować od 6 rano do późnej nocy, należą do bezpowrotnej przeszłości. Nie wrócą czasy, kiedy w każdej chwili mogli wyrzucić z pracy. „Nigdy mi się nie śniło, abym mógł kiedyś być tak honorowanym, aby tak dobrze mi szło na stare lata”.

Lata służby i poniewierki wojennej odbiły się na zdrowiu Kurzawy. Już nie może jak dawniej wychodzić codziennie do pracy. Spółdzielnia, do której należy Kurzawa, jest jedną z przodujących w powiecie sycowskim. Jej przewodniczącym jest Stanisław Pionka, odznaczony złotym krzyżem zasługi i medalem Dziesięciolecia. Kurzawa może więc się spodziewać, że będzie miał zapewnioną spokojną starość wtedy, gdy już nie będzie w stanie pracować. I wówczas jeszcze rozbrzmiewać będą u Kurzawy „pieśniczki” naprawdę czystą, piękną polszczyzną.

² Pieśń ta zamieszczona jest również w cyt. zbiorku *Dolnośląskie pieśni ludowe*, s. 14.